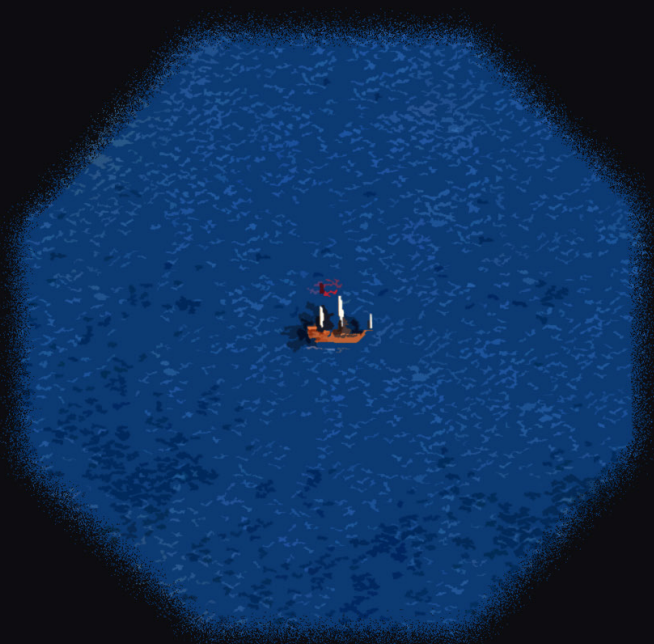
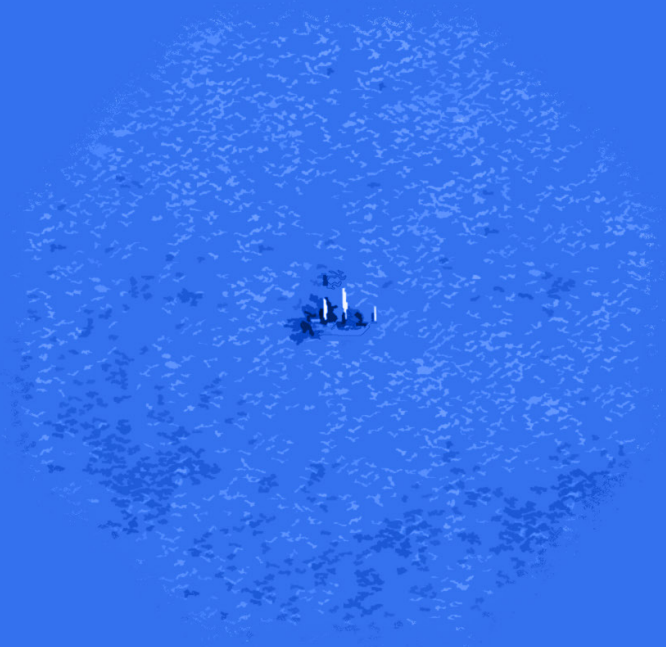


Magazyn Literacki Składka
nr 3/2025 (17)
Rejs



Kacper Greń, Joanna Majewska, Ola Skalec, Natalia Dobroń, Mira Król,
Kasia Możejko, Magda Łobejko, Jagoda Marcinkowska



4	Kacper Greń Lato
6	Joanna Majewska Heatwave
8	Ola Skalec Kraska
17	Natalia Dobroń Wchłanianie
24	Mira Król .omen.
27	Kasia Możejko Anteros do Eurydyki i Anteros do Dafne
29	Magda Łobejko Veturilo
31	Jagoda Marcinkowska kompozycja klamrowa

Lato

wstęp

Kacper Greń

I tak: rozsmakowując się w dusznym skwarze, szarawym od kurzu wzbudzanego z zapiekłej w bezdeszczu ziemi, dajemy się ponieść beztrószkom rodzącym się pomiędzy naszymi udręczonymi skroniami – pulsującymi, tętniącymi od obfitości czerwonych, koloru burgunda, owoców i nieustępliwości słonecznych promieni; wachlujemy się, okładamy lodem, wpatrujemy się w szklistą taflę płaskiej wody, rozlewającej się po horyzont, bezmiernej, przejrzystej. Powietrze jakby drga, wiatru neni – śreżoga. Cisza bezludna; myślami chyba uciekamy w przyszłość, choć pluąc pestkami, dłońmi lepкими od soku, odurzeni i zblazowani, przeglądamy stare pocztówki; swoich już nie wysyłamy. Minęliśmy już tak wiele podobnych do siebie małych miasteczek, a w nich: budek z lodami, liczących każdy krok, suchotniczych starców, umorusanych dzieci, rosochatych wierzb, pustych parkowych ławek, piekarń pełnych rozeżłonych osi i pojedynczych, nierentownych antykwariatów. Skąd te kartki? Nie pamiętam. I te puste spojrzenia, wystudiowane pozy, bardzo młode twarze, bezmierne tła w kolorze zapiekłej w bezdeszczu ziemi? To od upału czy z upływu czasu? W oczach: naręcza kotwic. Co? Naręcza kotwic, dwojących się, trojących... Nie rozumiem. To od upału? Wszak niemal wszystkie trzymają kotwice: nie za duże, przybrane drobnymi kwiatami, jakby wystrojone do Pierwszej Komunii. Niektóre z kotwic nabożnie unoszą się w powietrzu. Tońcie! – chciałoby się krzyknąć, żeby znaleźć pewny grunt, bo naraz wszystko się kołysze, niebo jakby bardziej szarzeje, cięży wypchany świeżyzną żołądek, cisza obezwładnia, a słońce – niewzruszone. Trzymaj się relingu! – parzącego w dłonie, wypolerowanego mozolnie przed kilkoma dniami. Wszystko wiruje jakoś tak bezmyślnie, bezrozumnie wręcz, beznadziejnie. Nie toną? Toną! Toniemy!

Kacper Greń – artysta-badacz i projektant. Pracuje na styku badań artystycznych, sztuki konceptualnej, tekstu i typografii. Interesuje się historiografią – poszukuje subwersywnego potencjału w przebrzmiałych przedmiotach i ideach, operując oszczędnymi, minimalistycznymi gestami. Ostatnimi czasy zagłębia się w ogrody i utopie. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @kcgrn.



Pocztówki z przełomu XIX i XX w. Kotwica, jako narzędzie zapewniające bezpieczeństwo na wodzie, od czasów antycznych symbolicznie wiązana jest z nadzieją. Nadzieja to również jedna z trzech – obok Wiary i Miłości – legendarnych siostr-męczennic wczesnochrześcijańskich, córek św. Zofii, zamęczonych w dzieciństwie. Źródło: Polona.

Heatwave

Joanna Majewska

Poznań ma gorączkę. Widok za oknem się rozmywa, pomarańczowy blok z naprzeciwka mieni się intensywnie. Na balkonach leżą niewyraźne ciała ubrane w stroje kąpielowe, luźne podkoszulki, podwinięte bokserki odsłaniające różowe uda. Poręcza balkonów znikają. Na wykafelkowanej posadzce łazienki rozlewa się promień słońca.

Jacek sprawdza w lustrze nową fryzurę. Kiedy upały nie ustąpiły po tygodniu, bez słowa wyszedł z domu, a po godzinie zdyszany i spocony wrócił z nową maszynką do golenia. Podaje mi urządzenie i przynosi do łazienki wiatrak, który wędrował z nami po całym mieszkaniu od początku lipca. Zakręcone, brązowe włosy sfruwały na jego kark, piegowate ramiona, moje opalone uda. Świeżutko, mówi Jacek i uśmiecha się leniwie. Przyglądam mu się w lustrze, na którym od ostatnich porządków przybyło już kilka smug i drobnych plam po paście do zębów. Jego kości policzkowe wydają mi się teraz ostrzejsze, twarz bardziej pociągła. Opieram podbródek na czubku krótko ostrzyżonej głowy i spotykamy się wzrokiem. Jedno oko Jacka lśni złapane skrawkiem promienia słońca. Świeżutko, powtarzam.

Nieśpiesznie zmiotam rozsypane dookoła włosy, kiedy Jacek łapie mnie za ramiona, zsuwa ze mnie jasną lnianą koszulę i prowadzi pod prysznic. Cichy szum deszczownicy wypełnia łazienkę. Pod zimnym strumieniem wody dotyk nie parzy. Nieznośne ciepło odpuszcza, pozwala na bliskość. Jacek podnosi moją dłoń do swoich ust, policzków, czoła. Palcami drugiej ręki śledzi kształt moich bioder, przypomina sobie moje ciało. Strużki wody spływają po jego zamkniętych powiekach. Wtopieni w siebie kąpiemy się pod sztucznym wodospadem. Z zewnątrz docierają przytłumione rozmowy

sąsiadów, stukot psich pazurów na klatce, przez Dębiec przejeżdża trąbiący pociąg. Gdzieś w oddali słychać wyjąca syrenę. Dźwięki odbijają się od naszych uszu i wylatują z powrotem na zewnątrz.

Orzeźwieni wychodzimy na balkon, dołączamy do reszty czerwonych ciał. Zmiana warty, mówię i szturcham Jacka, by spojrzał, jak nasza sąsiadka z naprzeciwka znika w głębi mieszkania, zostawiając pusty neonowy leżak. W każdy weekend konsekwentnie wymieniamy się z nią słońcem – poranne i południowe należy do niej, jej skóry świecącej olejkami do opalania, czerwonego bikini, spieczonych piersi. Kiedy słońce zaczyna swoją leniwą wędrówkę na zachód, Jacek układa się na skrzypiącym, drewnianym krześle, ja siadam na rozgrzanych kafelkach plecami do niego, opierając głowę o wilgotne po prysznicu uda. Schniemy i dzielimy się papierosami, aż wyparują ostatnie krople wody, a niebo szczerwienieje.

Zachód. Lekki podmuch wiatru usiłuje przedrzeć się przez gęste, duszne powietrze, poruszyć zmęczonymi upałami liśćmi starego dębu na podwórku. Temperatura miasta spada. Rozgrzany beton paruje, syczy. Blask księżycy nieśmiało wlewa się przez sypialniane okno. Z bloków wysypują się obudzeni ludzie. Cisza sennego dnia ustępuje zgłębieniu, ulice zalewają donośne okrzyki, dźwięczny śmiech młodych dziewczyn, stukanie połyskujących obcasów, brzęk szklanych butelek. W przytulnej sypialni szelest wiatraka miesza się z echem dudniącej muzyki Nocnego Targu. Księżyc delikatnie rozświetla alabastrowe ściany, jasne panele, blat starego, drewnianego biurka połyskuje muśnięty smugą srebrzystego światła. Jacek zatapia palce w moich wciąż mokrych włosach. W chłodzie mlecznego blasku po gorącej skórze przechodzi dreszcz. Słońce nie pozwala o sobie zapomnieć.

Joanna Majewska – ze Szczecina wyjechała do Poznania. Studentka filologii polskiej, norwidolożka, kociara.

Kraska

Ola Skalec

Rozbieram się do bielizny. Muszę uważać, żeby nie potraćić czegoś łokciem albo kolaniem, w składziku jest bardzo ciasno. Regały z detergentami i rollkami szarego papieru, stosy czystych ręczników i pościeli, wiadra najeżone kijami mopów i mioteł. Składam ubranie w kostkę i odkładam do szafki. Dostałam strój, w który mam się przebrać – intensywnie białą koszulę z krótkim rękawem i błękitną spódnicę z grubego materiału. Zanurzam twarz w koszuli. Jest sztywna i mocno pachnie proszkiem do prania. Podchodzę do małego lusterka nad umywalką, na tle koszuli moja skóra wygląda blade. W słabym, pomarańczowym świetle rysy są miękkie, czy rozmywają się na powierzchni twarzy.

Większą część lata spędzam w swoim mieszkaniu, nie wychodzę. Zasłonięte okna buchają żarem, od którego mąci mi się w głowie. Rozebrana do bielizny krążę w dusznym półmroku, wchodzę do wanny z chłodną wodą i czytam notatki z wykładów, aż głowa opada mi na ramię, kartki wysuwają się z dłoni i dryfują na powierzchni, tusz rozplywa się w wodzie ciemnymi smugami. Nocami rozmyślam o tym, co będzie i nie mogę spać, sen przychodzi dopiero nad ranem; brzęczy mucha uderzająca o szybę, ciężkie powieki zasuwały się z ulgą.

Znajduję ogłoszenie o sanatorium poszukującym pracowników sezonowych. Przeglądam zdjęcia w wyszukiwarce. Betonowy budynek w środku lasu, szklano-szary na tle głębokiej zieleni sosen. Piękny i nieprzystępny, jak obiekt spoza Układu Słonecznego, który wylądował na Ziemi i utknął. Wybieram numer podany w ogłoszeniu, w myślach planuję rozmowę.

Telefon odbiera kobieta. *Proszę przyjechać w przyszłym tygodniu.* Nie zadaje żadnych pytań, jej głos jest rzeczowy i chłodny. *Bardzo potrzebujemy osób do pomocy.*

Milczę przez chwilę. Chcę jej powiedzieć to, co sobie zaplanowałam, chcę jej powiedzieć mnóstwo rzeczy.

Dobrze, mówię zamiast tego. Przyjadę.

Wdrapuję się po stromym podjeździe, pod stopami trzeszczą mi suche igły i małe szyszki. Monumentalna bryła przyciąga wzrok, geometryczna konstrukcja, jednocześnie ciężka i ażurowa. Stał, beton i szkło emanują chłodem, jak wnętrze pustego kościoła w gorący dzień. Zza gigantycznych betonowych bloków widzę zacieniony dziedziniec, na dziedzińcu samotna, biała furgonetka. Wysokie sosny otaczające sanatorium kołyszą się lekko; słyszę ciche skrzypienie ich pni.

Hol jest pusty i przestronny. Przy recepcji czeka na mnie kobieta w średnim wieku. Jest szczupła i wysoka, jej twarz ma zdrowy, różowy blask. W dopasowanej szarej garsonce wygląda, jakby urodziła się w tym budynku i nigdy nie opuszczała jego murów. Na jej piersi porządnie przypięta, metalowa plakietka: „Magda”. Kobieta prosi, żebym zostawiła swoją torbę w recepcji; rozpoznaję chłodny, rzeczowy ton. Wręcza mi białą-błękitny uniform, a potem szybkim krokiem prowadzi po schodach do podziemi. Jej kroki dudnią w szerokim, ciemnym korytarzu, kiedy mijamy rzędy zamkniętych, nieoznakowanych drzwi. Gdy docieramy do składziku, Magda mówi, że za piętnaście minut zaczynamy.

Gdy wynurzam się z podziemi, w holu czeka już grupa młodych ludzi. Rozciągnięci w niskich fotelach przy wejściu, oparci o blat recepcji. Część siedzi ze skrzyżowanymi nogami na posadzce z polerowanego betonu. Rozmawiają ze sobą swobodnie, jakby znali się od dawna, śmieją się cicho. Idealnie wyprasowane koszule, błękitne spodnie i spódnice jaśnieją na tle betonu i mahoni, kontrastują z nonszalancją ich póz. Ich zachowanie mnie onieśmiela, ale podchodzę bliżej, opieram się o ścianę niedaleko recepcji. W holu panuje chłód, a mimo tego czuję, jak nowy strój przesiąka ciepłem i wilgocią, parującymi z mojego ciała.

Napotykam spojrzenie młodej dziewczyny stojącej w grupce niedaleko. Kieruje w moją stronę twarz, ma mocno pomalowane oczy. Jej spojrzenie jest przenikliwe, nie wytrzymuję i odwracam wzrok, czuję, jak krew napływa mi do policzków.

Po chwili z korytarza prowadzącego wгłęb budynku dobiega echo energicznych kroków. Magda wynurza się z cienia i kilka razy klaszcze w dłonie, kłaśnięcia dudnią jak dźwięki wystrzałów. Dziewczyny prostują się i wygładzają spódnice. Chłopcy poszturchują się nawzajem i odchrząkują, przeczesują dłońmi włosy.

Proszę ustawić się w rzędzie, mówi Magda. Staje niedaleko grupy, potupuje w posadzkę. Zaczynamy.

Mijają dni, a goście sanatorium wsączają się do holu cienkim strumyczkiem, jeden za drugim, kropla za kroplą. Powolni, apatyczni, ich stare ciała przygięte do ziemi jak sosny na stromym zboczu,

a jednak niezmordowani, suną w kierunku recepcji, drżące palce uderzają w dzwonek na blacie. Pomagamy wejść po schodach, popychamy wózki, podajemy kule i balkoniki, ujmujemy cienkie, pomarszczone ramiona jak wiotkie gałązki, prowadzimy do windy i pokazujemy pokoje, otwieramy okna, bo *strasznie tu duszno, czy nie można trochę uchylić*. Goście płyną korytarzami jak duchy, bladzi, szepczą, ich głosy są ochryple, dłonie im dygoczą, kiedy tasują karty do brydża i remika. Białe włosy otaczają jajowate głowy jak obłoczki pary, rozczesujemy je i zaplatamy w warkocze, smarujemy łydki maścią, przynosimy butelki z gorącą wodą i dodatkowe koce, pomagamy wybierać numery na telefonach z olbrzymimi przyciskami.

Popołudniami patrolujemy ciemne korytarze, nasłuchujemy skrzypnięć łóżek albo uchylanych drzwi. Prowadzimy kuracjuszy do pokoiów kąpielowych i gabinetów zabiegowych, tam zsuwamy koszule nocne przez głowę, rozsypujemy paski szlafroków, odkładamy okulary i ciężkie, złote pierścionki do szuflad. Podajemy plastikowe czepki na włosy. Podtrzymujemy chybotałe ciała, kiedy ostrożnie unoszą nogi przy wchodzeniu do wanny. Sprawdzamy temperaturę kąpiel, masujemy ramiona, przynosimy plastikowe kubeczki z wodą, która pachnie siarką. Czas stoi w miejscu. Nie myślę o tym, co będzie, nie myślę o niczym.

Śpimy w maleńkich pokoikach na poddaszu, moje łóżko jest wąskie i twarde, pościel szorstka i sprana, pachnie czystością. Przez kwadratowe okienko pod sufitem widzę kołyszące się czubki ciemnych sosen, jak falujący tłum, ptaki zrywają się z krzykiem, kiedy otwieram okno. Jest cicho, powietrze pachnie lasem, korą, mokrą ziemią,

słodką wodą. Chodzimy w tę i z powrotem pustymi korytarzami, dwójkami, nasze kroki odbijają się echem od ścian. Szorujemy metalowe wanny i zakamienione brodziki, lodowatym strumieniem z węża polewamy kafle na ścianach. Zamiatamy dziedziniec, wietrzymy pokoje, wynosimy śmieci. Nieskończone połączenie materiału przemykają przez nasze palce, prasujemy zasłony, obrusy, prześcieradła, wygładzamy poduszki. Nakrywamy do stołów w stołówce, a później sprzątamy brudne naczynia, manewrujemy rozklekotanym metalowym wózkiem między stolikami. Dopijamy resztki wódki i ziołowej nalewki z kieliszków, pakujemy do ust kawałki nadgryzionych białych bułek, umoczonych w resztkach sosu. Rozmawiamy, machamy do siebie, mijając się w przejściu, śmiejemy się, muskamy się dłońmi, podając sobie naręcza czystych ręczników. Wieczorem niebo jest gwieździste, zadzieramy głowy do góry, kiedy palimy papierosy na betonowym balkonie. Rozmawiamy do późna w nocy, dziewczyny malują sobie nawzajem paznokcie u stóp, leżą na plecach i chichoczą, chłopcy przesuwają dłońmi po ich nagich udach, pokrytych gęsią skórą w nocnym powietrzu.

Spędzamy ze sobą dużo czasu, ja i ciemnowłosa dziewczyna, już wiem, że wszyscy nazywają ją Kraską. Maszerujemy korytarzami ramię w ramię, a Magda obserwuje nas bacznie. Kraska ukradkiem dotyka mojej dłoni, kiedy wycieramy ciało starej kobiety, pomarszczone i rozgrzane po borowinowej kąpeli, zerka na mnie przez ramię na porannym apelu Magdy, błyska śnieżnobiałymi zębami. Przy kolacji, gdy nikt nie widzi, podsuwa mi kieliszki nalewki z jarzębiny, słodkiej jak syrop, a potem kciukiem ociera moje wargi

z lekkich kropel. Kiedy wybucha głośnym śmiechem, głowy odwracają się w naszą stronę. Później przysypia na siedząco, oparta o moje ramię.

Rano prowadzi mnie w głąb lasu, maszeruje szybko, kilka kroków przede mną, nie ogląda się. Wskazuje mi krzaczki granatowych jagód i czerwonych borówek, jej wargi i palce są fioletowe, kiedy pakuje je sobie garściami do ust. Podnosi z ziemi małego żuka, oglądamy lśniący czarny pancerz spacerujący po jej dłoni, opowiada mi o zwierzętach, ptakach i słodkowodnych rybach, o tym, jak smakuje mokry mech, o tym, że chciałaby odlecieć zimą na południe.

Wieczorami wślizguje się do mojego łóżka i wsuwa pod kołdrę, szepcze mi prosto do ucha, śmiech czał się w jej głosie, wreszcie zasypia, ślina śaczy się i stygnie na poduszce przy moim policzku. Rano wciąga na siebie uniform, jej ruchy są zwinne i pewne, pochyla się przy lusterku w moim pokoju, rysuje na powiekach czarne kreski i rozciera je koniuszkiem małego palca. Obserwuję jej odbicie, naśladuję jej ruch, kiedy dłońmi przeczesuje krótkie włosy. Uśmiecha się do mnie w lustrze, groźny błysk zębów na opalonej twarzy, podaje mi przez ramię czarną kredkę do oczu.

Wieczorem ma być dancing, trzyosobowy zespół rozplątuje kable i ustawia instrumenty, jedno z nich wchodzi na scenę i puka palcem w mikrofon, głuchy dźwięk niesie się po stołówce. W tym czasie krzątamy się, przesuwamy stoliki, ustawiamy krzesła pod ścianami, ktoś wychodzi i zaraz wraca z zakurzoną kulą lustrzaną w ramionach, chłopcy wchodzi na stół i mocują kulę pod sufitem. Jedna z dziewczyn siada przy keyboardzie i wciska guziki, a my już za chwi-

lę kołyszemy ramionami i biodrami do melodii bossa nova. Któryś z chłopców przynosi z kuchni butelkę wódki, ukrytą pod koszulą, wszyscy bierzemy po łyku, śmiejemy się, tańczymy nieśmiało, nasze rozmyte sylwetki odbijają się w wielkich szybach, na zewnątrz jest ciemno i cicho. Wreszcie goście spływają do sali, migają kolorowe światła, błyszczą cekinowe bluzki i spinki do krawatów, stukają obcasy, pachnie woda po goleniu, kwiaty w butonierkach więdną, muzyka wibruje w powietrzu. Pary płyną półkoliście od ściany do ściany, siedzące nogi podrygują w rytmie.

Noc mija, serwujemy schłodzoną wódkę, wędliny i ogórki konserwowe, noc mija, goście jeden za drugim znikają za drzwiami, podbródki opadają na piersi, noc mija, ziewają ziewające usta. Rozpinamy kołnierzyki i zrzucamy białe tenisówki, przejmujemy parkiet, śmiejemy się, wyrzucamy ręce w górę, obejmujemy się za szyje, całujemy policzki. Tańczymy, Kraska i ja, łapiemy za ręce jednego z chłopaków, on chwytą nas na przemian w tali i unosi w powietrze, piszczymy i machamy nogami. Dyszymy ze zmęczenia, popijana w biegu wódka dodaje nam sił, wirujemy w trójkę spleceni ramionami. Wymykamy się z sali, muzyka oddala się i cichnie. Biegniemy na górę po schodach, ścigamy się, aż brakuje nam tchu, śmiejemy się i uciskamy na przemian, zakrywamy sobie nawzajem usta dłońmi. Wchodzimy do mojego pokoiku, padamy we trójkę na wąskie łóżko, ściągamy z siebie ubrania.

Budzę się rano w skłębionej pościeli, rozglądam po pokoju. Chłopak śpi na podłodze obok łóżka, nagi, przykryty niedbale rozpiętą koszulą od uniformu, leży na boku, oddycha głęboko i miarowo, jego twarz ma spokojny wyraz. Rozglądam się, ale Kraski już nie

ma, pokój jest cichy i poważny w świetle świtu, przez okienko widzę ptaki krążące nad czubkami sosen. Tego dnia dostajemy reprimendę od Magdy, czeka na nas na dole przy recepcji, ręce założone na piersi, potupuje w kamienną posadzkę, minę ma surową i zaciętą. Strofuje nas przyciszonym głosem, w tym czasie raz po raz spoglądam na Kraskę, ale ona nie patrzy na mnie. Chłopak, z którym spędziłyśmy noc, przysuwa się bliżej mnie, ukradkiem próbuje złapać mnie za rękę, ale odsuwam dłoń.

Wieczorami Kraska i ja chodzimy na długie spacer, tylko my dwie, krążymy po lesie, aż zapadnie zupełna ciemność, później po omacku odnajdujemy drogę powrotną, w lesie jest cicho i nie widać gwiazd. W ciągu dnia Kraska szuka mnie w salach zabiegowych i czeka na mnie na korytarzach, wymigujemy się od swoich zajęć i spotykamy przy wielkim śmietniku za budynkiem, palimy papierosy jeden za drugim, rozmawiamy cicho. Raz przyłapuje nas Magda, *Kraska!*, krzyczy ostro w naszą stronę, odwracam się, ale Kraski już nie ma, chyba schowała się za śmietnikiem, papieros jeszcze tli się na betonie przy mojej stopie. Czas stoi w miejscu, nie myślę o niczym.

W pokoju kąpielowym stara kobieta podaje mi złoty łańcuszek i klipsy z perłami, ale zamiast schować je do szuflady, wsuwam je do kieszeni spodnicy. Patrzę na kobietę zza parawanu, kiedy sama się rozbiera, odwrócona do mnie plecami. Rozpina guziki bluzki, pozwoli zrzucić ubrania, wreszcie widzę jej dygoczące nagie ciało na tle białych kafli. Czeka, aż podam jej ręcznik i czepek, chwycę jej ptasią dłoń i pomogę wejść do wanny.

Zostawiam ją, chyłkiem wymykam się z pokoju, cicho zamykam za sobą drzwi. Na korytarzu czeka na mnie Kraska, łapiemy się za ręce i zbiegamy po schodach, jest cicho, echo naśladuje nasze kroki. Przystajemy przy drzwiach składziku w podziemiach, biorę dłoń Kraski i wsuwam ją do kieszeni mojej spódnicy, aż jej palce dotkną zimnego złota. Kraska odchyła głowę i wybucha głośnym śmiechem, otwiera drzwi składziku, wślizgujemy się do środka.

Muszę uważać, żeby nie potrącić czegoś łokciem albo kolaniem, w składziku jest bardzo ciasno. Regały z detergentami i rolkami szarego papieru, stosy czystych ręczników i pościeli, wiadra najeżone kijami mopów i mioteł. Podchodzę do małego lusterka nad umywalką. Słyszę przyspieszony oddech Kraski, czuję jej ciepło, palce zatrzaśnięte na moim nadgarstku. Przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze, zmierzwił włosy, oczy obrysowane czarną kredką, groźny błysk śnieżnobiałych zębów na opalonej twarzy.

Spoglądam za siebie, ale Kraski już nie ma.

Ola Skalec (ur. 1994) – absolwentka filologii szwedzkiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończyła Kurs Pisania Powieści organizowany przez Kraków Miasto Literatury Unesco. Obecnie pracuje nad debiutancką powieścią, pisze też opowiadania, wyróżnione m.in. przez Instytut Literatury w Krakowie i Wydawnictwo Czarne. Mieszka i tworzy w Krakowie. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @olaskalec.

Sól osiadła na rzęsach.

Zlizywałam ją z twoich powiek w codziennym rytuale. Słońce nie zachodziło od tygodni, tylko przesunęło się z jednego boku karku na drugi, aż skóra pękała jak skórka owocu. Figi fermentowały w koszu. Rozcierałam ich zgniłe mięso na języku.

Powiedziałeś, że słodycz zawsze coś kosztuje.

Spałeś z otwartymi oczami. Gdybym nie oddychała razem z tobą, pomyślałabym, że nie żyjesz. Albo że nigdy cię nie było.

Powiedziałeś: *zjedz mnie*.

Więc zaczęłam od języka.

Na początku wszystko wydawało się normalne.

Śniadania podawano punktualnie. O siódmej trzydzieści na zegarze w jadalni rozbrzmiewał nawołujący dzwonek, a z głośników sączył się instrumentalny jazz. Twarde jajka, grzanki z masłem w pojedynczych papierkach, wędliny układane w wachlarz. Earl Grey w szklankach z grubego szkła zostawiał w ustach posmak rdzy.

Ludzie jadali tu powoli, z namaszczeniem rozciągali posiłki do granic przyzwoitości. Kobieta z kabiny obok codziennie jadła banana przez dwadzieścia minut. Obierała go paznokciem, milimetr po milimetrze, z nabożną uwagą, która jednocześnie mnie krępowała i niepokojąco przyciągała. Nie mogłam oderwać wzroku od jej ust, od zębów zanurzających się w mięszu, od tego, jak dokładnie oblizywała palce.

Wchłanianie

Natalia Dobroń

Statek przecinał Morze Śródziemne. Pokład pachniał cytrusami, deskami przesiąkniętymi winem, słodkimi perfumami turystek. Trzy posiłki dziennie, muzyka na żywo. Każdego wieczoru inny koncert, inni tancerze w bieli.

Złote światła. Owacje. Piana.

Mówili, że rejs potrwa tydzień.

Mówili: *wszystko w cenie*.

W cenie były też drinki, hamaki, masaże na pokładzie, lekcje tańca. Nad ranem ćwiczenia jogi na górnym pokładzie, po południu degustacje oliw i win, wieczorem kolacje tematyczne – raz grecka, raz hiszpańska, raz inspirowana kuchnią Maghrebu.

Statek sunął niemal bezszelestnie. Wiezorami leżałam na koi, nasłuchując szmerów, drgań, oddechów metalu. Czasem czułam lekki wstrząs pod ciałem, jakby coś się poruszyło w głębi, pod nami, we mnie.

Powtarzalność. Rytm. Mówiliśmy, że jesteśmy w raj.

Na górnym pokładzie stały metalowe leżaki z wyblakłym płótnem. Pasażerowie czytali książki. Palili cienkie papierosy. Rozmawiali szeptem, jakby to była biblioteka, nie morze. Jednak nikt nigdy nie mówił wprost, ile dni potrwa rejs.

To zależy od pogody.

Od warunków.

Od trasy.

Słońce wisiało nad linią wody coraz dłużej. Początkowo była to tylko zabawna anomalia, temat żartów przy kolacji. Ktoś upierał się, że to kwestia strefy czasowej, ktoś inny natomiast uznawał to za efekt soczewkowania atmosferycznego. Program też się rozciągnął – najpierw dodali jeden koncert, potem drugi. Cisza nocna przestała obowiązywać. Światła na pokładzie już nigdy nie gasły.

Nie było potrzeby spać.

Niektórym to odpowiadało. Inni zaczęli mówić, że to właśnie jest prawdziwy luksus – móc zrezygnować ze snu. Więcej czasu na kąpiele, na hazard w kasynie, na spacer po pokładzie. Śmiali się, że wreszcie przeczytają wszystko, co zabrali. Że nadrobią zaległości w pisaniu pamiętników. Że zrobią dziesięć tysięcy kroków dziennie nie ruszając się z górnego pokładu.

Nie czułam niepokoju. Może lekkie napięcie w karku i suchość w ustach, choć piłam wodę. Od czasu do czasu łapałam się na tym, że zamykam oczy i próbuję przypomnieć sobie, jaki dziś dzień tygodnia, ale to umykało, rozchodziło się po głowie jak fale.

W pewnym momencie przestałam zamykać zasłony w kabinie. Przestałam próbować walczyć ze światłem. Przestałam sprawdzać telefon. Przestałam notować.

Zamiast tego słuchałam. Na korytarzach – bosych kroków. Z kabiny obok – zamka walizki, który rozsuwał się i zasuwiał w tym samym rytmie. Z sufitu – delikatnego stukotu, jakby ktoś toczył po pokładzie kulkę z metalu.

Zmieniali nam pościel codziennie. Pachniała bergamotką i czymś jeszcze – czymś pudrowym, nie do końca znajomym. Przynosili też ręczniki, chociaż nigdy nie prosiliśmy. Czyste, miękkie, jakby świeżo wyprasowane. Świeże. Ciepłe. A głód...

Głód był nowy. Ostry. Nienasycony.

Po tygodniu czy dwóch zaczęłam zauważać, że jedzenie smakuje inaczej. Figi podawane z serami były zbyt miękkie, zbyt słodkie, jakby sfermentowane. Czasem w środku trafiał się robak – nikt nie protestował. „To białko”, powiedziała ze śmiechem kobieta z kabiny naprzeciwko. Miała dziś turban i suknię z siatki.

Basen był otwarty cały czas. Nocą, o ile można to jeszcze tak nazywać, światła pod wodą mieniły się jak klejnoty. Gdy przechodziłam obok, widziałam ludzi leżących na dnie na wznak, z szeroko otwartymi oczami, z uśmiechami. Ich skóra połyskiwała jak zatopione w parafinie morele.

Mówili, że ich to relaksuje.

Nikt nie wspominał o powrocie.

Bo po co miałabym wracać? Po co *my* mielibyśmy wracać?

Kiedyś sądziłam, że pożądanie zaczyna się w ciele. Ale tutaj wszystko przychodziło inaczej. Przez skórę. Przez ciepło cudzego ramienia, które nagle stawało się własne. Przez zsynchronizowane oddechy, gdy siadało się obok kogoś na pokładzie. Czasem wystarczył gest.

Granice ciała się rozmyły.

Na początku jeszcze się przedstawialiśmy – imiona wypowiadane ze śmiechem, uściski dłoni, głosy jak z reklam pasty do zębów. Ale po kilku dniach, albo tygodniach, zrozumieliśmy, że nie ma potrzeby.

Zaczęło się niewinnie. Kolano muskające obce kolano. Dłoń spoczywająca chwilę za długo na ramieniu. Spojrzenia, które zatrzymywały się tam, gdzie już dawno powinny przejść dalej. A potem leżeliśmy razem. Na pokładzie, w cieniu żagli, na miękkich, zawsze świeżych poduszkach. Pozwalaliśmy sobie nawzajem przechodzić przez skórę jak przez wodę. Bez oporu. Bez zdziwienia. Jakbyśmy robili to od zawsze.

Rozpuszczałam się w tym samym rozedrganym półświecie, w którym ludzie smakowali się nawzajem. Powoli, metodycznie, jakby czytali bardzo dobrą książkę. Palcami. Językiem. Wzrokiem.

Figi były zawsze w zasięgu. Dojrzałe do przesady. Miękkie jak język lub rozchylone usta. Pojawiały się niespodziewanie: na poduszce, w bucie, na czyimś brzuchu. Czasem miałam wrażenie, że nie tyle ktoś je zostawia, co wyrastają z nas – z potu, z pragnienia.

Bywały zepsute. Ale nie jak owoce na lądzie – tamte gniły powoli, słodko, aż do brązowej miazgi. Tutaj rozkład przychodził nagle. Od środka. Jednego dnia jędrna, lepka, pachnąca jak obce usta tuż po pocałunku. Następnego – otwarta rana. Ciemność w środku, jakby coś ją przegryzło od wewnątrz i zniknęło, zostawiając tylko zapach: ostry, drażniący, dziwnie znajomy. Figi pękały od środka. Nadal je jadłam.

Mówiliśmy: „to słońce”, „to sól”, „to wilgoć”. Śmialiśmy się zbyt głośno, jak dzieci, które słyszały coś w nocy, ale udają, że nic się nie stało.

Ale ja już wiedziałam.

Zaczęłam liczyć. Owoce. Krzesła odsunięte od stołu. Tych, co nie przyszli na śniadanie. Tych, co zbyt długo patrzyli w słońce. Tych, co jedli zachłannie, jakby chcieli czymś zatkać własne usta. I tych, którzy – kiedy się z nimi kochało – smakowali inaczej. Nie jak skóra. Jak coś, co próbuje ją naśladować. Jak coś, co tylko udaje, że nią jest. Jak figa, która nie gnije, tylko staje się czymś obcym.

Zrozumiałam też, że statek nie płynie.

Nie było łądu. Nie było początku. Nie było celu. Ale nikt nie pytał.

Rozkosz to najdoskonalszy środek znieczulający.

Leżałam wśród nich, rozciągnięta w słonej poświacie, i myślałam, że to najpiękniejszy rodzaj śmierci. Ciepła. Mokra. Bez oporu. Bez krzyku. Tylko czasem, w środku nocy, czułam coś. Jakby nie oczy, ale świadomość – czysta, rozciągnięta, milcząca – śledziła każdy ruch. Nie ktoś. Coś. Jakby sam statek był ciałem. A my – jego wnętrznościami. Jego snem. Jego posiłkiem. Jakbyśmy byli dla niego tym, czym figi były dla nas – słodkim, miękkim środkiem, który się połyka, zostawiając skórę.

Zamykając oczy, szeptałam coś, co przypominało modlitwę, choć nie wiedziałam, do czego się modłę.

Żeby jutro też się rozpuściło w świetle.

Żeby nikt nie zniknął.

Żeby żadne z nas nie zaczęło smakować inaczej.

Statek został. Nie drgnął, choć fale zaczęły się cofać, jakby to nie woda ustępowała, ale łąd szykował się do odpłynięcia.

Sól zaczęła krystalizować się na skórze. Powietrze wsiąkało przez pory, oddychało ze mną. Ty też – bez ruchu, bez słowa – jakbyś przesączał się przez moją skórę. Bo teraz już nie wiem, gdzie kończysz się ty. I czy ja w ogóle jeszcze się zaczynam.

Słońce nie gaśnie.

A ja żuję.

Powoli.

Z zamkniętymi oczami.

.omen.

Mira Król

kilka lat temu
tańczyłaś z papierosem w pysku
na jednym z ursynowskich osiedli
kołyszący się w rytm oddechów dym
bielił ściany nocy
posłusznie
warujący u dłoni
pies
a morze?
może suka
szerokie biodra skrywane pod koszulką oversize w kolorze
sepii
wbijały ciężar ciała w utopijną nieskończoność
jutro wszyscy pójdziemy do piachu!
krzyknął ktoś z salonu wyraźnie rozbawiony
wrócimy na statek-matkę
a może przejdziemy do historii
jak Louis i Lola
sieroty z Titanica
nienaturalnie głośno zaśmiałaś się
z wypowiedzianych przez siebie słów
perły rzucone przed wieprze
całe noce ogrywałaś kilka łyków piwa
zielone szkło discoball
niewypuszczane z twoich z rąk
mówiłaś
lubię gdy myślę że jestem pijana a ja jestem trzeźwa jak świnia

kamień w żebrach przesuwają się kilka pięter w dół
przez chwilę mogę oddychać
a nie tylko nerwowo łapać oddech haust
za haustem
haust
za faustem
i milkną świsty kul tnące kruchą tkankę mięsa
kilka lat temu
wyruszyłaś w rejs
tak czynią ci którym to co znane łamie kręgosłup
i psuje krew c'est la vie
non je ne regrette rien
tak czynią spłoszone sarny wbijające się w maski rozpędzo-
nych aut
trzykrotnie splunęłaś przez lewe ramię
na złe oko

Kapitan Benjamin S. Briggs poczuł wiatr w żaglach. Cóż za nieco-
dzienny uśmiech losu, pomyślał i z zadowoleniem potarł spiczastą
bródkę. Lubił mieć o sobie dobre zdanie, a któż nie lubi. Natchniony
nadzieją i pełen optymizmu zajął miejsce za sterem. Nie był prze-
sadnie przesądny. Przeszkody należy usuwać spod nóg, a nie pod
nie rzucać. Zadanie przewiezienia ładunku spirytusu to nic innego,
jak tylko doskonała okazja na połączenie przyjemnego z pożytecz-
nym. Przechrzczone Mary Celeste miała nie powtórzyć losu Ama-
zona, a wręcz zakończyć serię plag trapiących statek i odwrócić bieg
wyjątkowo niefortunnych wydarzeń. A za sterem nikt inny, tylko on
sam, kapitan B. S. Briggs, boży pomazaniec.

7 listopada 1872 roku Mary Celeste opuściła Nowy Jork.
5 grudnia 1872 załoga Dei Gratia dostrzegła na horyzoncie opuszczony statek.

Złe oko nie śpi.

“Wszystko, co należało do załogi, kapitana, jego żony i córki, pozostało nietknięte”.

akordeon otwarty zeszyt z nutami maszyna do szycia z przygotowanym kawałkiem jedwabiu niedokończony list

„Kochana żono!”

musiałaś tam być
kilka lat temu
żyłaś

Mira Król – osoba pisząca. Publikowała w *Migotaniach*, *Afronie*, *Drobiazgach*, *Stronie czynnej*, *Helikopterze*, *Szajn*, *Składce*, *Trytytce*, *Zakładzie*, w *Pocztówkach literackich Karola Maliszewskiego*, *Tlenie Literackim*. Debiutancki *Nietakt* czyta jako wytrych. Na deficyt zieleni poleca: pola, łąki, lasy i rower.

I

Anteros do Eurydyki

Kiedy ostatnio? Wtedy, gdy siedziałyśmy na rozgrzanych słońcem kamieniach, moczyłyśmy stopy w chłodnej wodzie. Przy skalistym brzegu zrobiła się taka zatoczka, więc można było zanurzyć się w morzu albo usiąść w czymś, co przypominało mały staw.

Wstałaś i położyłaś się na gładkim, podłużnym kamieniu. Dotknęłaś go tyłem pięt, spodem łydek, ud, pośladków i pleców, ręce włożyłaś pod głowę. Widziałam, jak słońce wędruje po śladach wody na twoim ciele, za każdym razem, gdy brałaś i oddawałaś oddech. Miałaś zamknięte oczy i nie wiedziałaś, że zaraz obleje cię woda, że zaraz fala cię zmoczy, przykryje.

Patrzyłam i myślałam, a co, jeśli fala cię zabierze. Przecież nie wstanę, nie skoczę za tobą w morze.

Kiedy ostatnio? Było już ciemno, skończyliśmy opowiadać historie, wszyscy rozeszli się do swoich nerek.

U mnie było już cicho, zapukałaś

a gdy odchodziłaś, długo trzymałaś moją dłoń. Nie wiedziałaś, że gdy tylko odejdiesz za daleko, przykryje cię płomień, że zaraz żar cię rozpali, pochłonie.

Patrzyłam, ale w czarnym pokoju nie było widać, gdzie się zaczynasz. A więc jednak wskoczyłam w ciemnicę za tobą.

Kiedyś na pewno była między nami rozmowa, kiedyś na pewno rwałyśmy trawę, gdy się toczyła rozmowa. Chłód ziemi, na której

Anteros do Eurydyki i An- teros do Dafne

Kasia Możejko

siedziałyśmy, twoje splecione nogi, włosy spływające na ziemię,
której chłód wspominam i ten zapach trawy.

II

Anteros do Dafne

pewnego razu królowa przechadzała się leśną ścieżką
i zobaczyła konające zwierzę
dotknęła jego szyi, wyczuła słabnący puls,
spotkali się jeszcze spojrzeniem

wracając królowa nuciła piosenkę z dzieciństwa
o tym, żeby coś dać, żeby niczego nie żałować
żeby komuś choć krótki kawałek dnia podarować
jeśli można, jeśli się chce

zamiast wrócić do norki, skrzyła nad wodę, nad morze
stała na skalistym brzegu, a że wiatr wiał mocno
nie słyszała, że ktoś ją woła
a tamta krzyczała ile tchu w piersiach

wieczorem, gdy już leżała na stosie poduszek i pierzyn
uwierało ją wciąż ziarno grochu, nie mogła zasnąć
więc myślała o jutrze, a że każdy dzień przeżywała podwójnie
to już zdecydowała – nie wejdzie do lasu
tylko od razu pójdzie nad morze

spotka ją jeszcze, zanim ona zacznie krzyczeć
położy się obok drugiej na gładkim podłużnym kamieniu
i pozwoli przykryć się falą, zakryć się wodą, otulić pianą
dotknąć kropelką

Kasia Możejko albo Kasix Paryż – pochodzi z Białegostoku. Uczyła polskiego w liceum.
Śpiewała w chórze Krakofonia. Interesuje się dziewiętnastowieczną powieścią realistyczną
i serią gier *The Sims*. Aktualnie pracuje nad zbiorem opowiadań, do którego Gabriela
Hukałowicz tworzy ilustracje (fragment opublikowały w drugim *LesBilansie*). Wiersze
w *Składce* to poetycki dodatek do tego uniwersum. Można ją znaleźć na Instagramie
na koncie @kasixparyz

Budzę się później niż zwykle, robię kawę i nie zalewam jej tak, jak
zazwyczaj, do połowy. Leję wodę tak długo, aż ranciki kubka będą
otulone jej czarnym jeziorem.

Zanurzam powoli usta, jej temperatura jest doskonała. Wypijam
całą. Rzucam się z radością do drzwi i pędzę prosto na dziedziniec,
gdzie wczoraj zostawiłam rower z europejskiej wypożyczalni Next
Bike Veturilo. Zbiegam po schodach i zastanawiam się, czy tam jest,
bo z wczorajszych emocji postanowiłam go nie zwracać. Zerkam
do aplikacji, żeby upewnić się, czy nadal mogę z niego korzystać.
3456. Czas wypożyczenia: 11,5h, stan konta: -223 zł. Status: aktyw-
ny. Otwieram powoli drzwi i przez zmrużone oczy – bo trochę się
boję – zerkam. Jest! Stoi! Upewniam się, czy numer się zgadza. Tak,
3456, to on! Dziś plan jest taki – jebię to wszystko i jadę do Kielc!

Mijam Radom i Starachowice. Życie to podróż. Polska jest piękna.
Lato to ta pora roku, która umacnia człowieka. Krótkie zdania prze-
wijają się przez moją głowę w czasie podróży z Warszawy do Kielc.
Każdemu polecam wybrać się w taką podróż, która pokrzepia ciało
i umysł. Prowadzi do jedności. Jakie to fantastyczne uczucie, kiedy
czujesz, że nic nie ogranicza cię w życiu.

Rozgrzane ciało kładziesz na dnio rzeki, na belkach słomy, na po-
rannej rosie, na rozgrzanych pomostach. Wiesz, że idealny moment
nigdy nie nadejdzie i szkoda tracić czas na czekanie. Warto być tak
po prostu. Pytania. Co zrobić? Jak zrobić? Czy zrobić? Teraz? Czy
jeszcze poczekać? Czy to ja tak myślę, czy ktoś inny? Czy warto ryzy-
kować, mówić co się myśli? Warto podążać za swoimi marzeniami?
Marzeniami – czyli czym? Przyjmować ze spokojem. Nie zaklinać
rzeczywistości. Brać to życie, tak wiesz. Przestać się bać, a może

Veturilo

Magda Łobejko

bać się, ale i tak działać z tym strachem. Bez przesady. Nie sięgać
łapczywie, bo będzie, dopóki się nie skończy.

Jadę, towarzyszy mi przyjemne uczucie, kiedy mówię, że... nie
wiem. PRZYTRAFIŁO MI SIĘ ŻYCIE, wracam z Kielc do Warszawy
na Veturilo 3456.

Magda Łobejko (ur. 1993) – pisze głównie teksty prozatorskie. Obecnie pracuje nad swoim
dramatopisarskim debiutem *Rzeka wysycha, a Big Maci nie*. Współzałożycielka zina *Na wynos*.
Mieszka w Warszawie i myśli o domu nad rzeką w dzikich Bieszczadach. Uwielbia długie
dystanse. Jest weganką i opiekunką suczki Flory. Swoimi tekstami dzieli się na Instagramie
na koncie @magda_lobejko.

i rzesami smagasz moje policzki
w tej klęsce urodzaju
między falą
a krokiem w tył
w lęku
kiedy wszystko
jeszcze lepi się od
miąższu pomarańczy
i obmywasz moje dłonie słoną wodą
tylko tak razem
się zmarszczymy i nie mówię
tego na głos
ale marzę
żeby to popołudnie
półstałego spf'u
trwało na horyzoncie
i trwało na horyzoncie
ostatni raz dajemy
się ponieść
jednej fali
deja vu ale zamiast
powtórzenia przeszłości
rozumiem że to dzieję się po raz pierwszy

Jagoda Marcinkowska – można ją znaleźć na Instagramie na koncie @sercewrozterce.

kom-
pozycja
klamrowa

Jagoda
Marcinkowska



Praca Powrót autorstwa Moniki Shaded zaprezentowana w Galerii Szewska w Poznaniu podczas wystawy zatytułowanej *Dom mój płynie bez drzew i bez okien*. Fot.: Jadwiga Subczyńska.

Redakcja: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta: Krystian Furga
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska

Ilustracja okładkowa autorstwa Marcina Salwina,
inspirowana *Heroes of Might and Magic III* (1999).

Magazyn Literacki Składka
Warszawa 2025
www.magazynskladka.pl



SKLADKA